



ELIZA ORZESZKOWA

Dymy


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

Dymy

SIELANKA

Niby to jeszcze koniec lata, a niby początek jesieni. Kalendarz juliański mówi, że to ostatnie dni sierpnia, a gregoryański, że pierwsze września. Mniejsza o to. Kalendarze i podział czasu na miesiące — rzecz ludzka, a natura czyni swoje. Teraz uczyniła tak, że pierwszy rąbek wschodzącej jesieni nasuwa się na ostatni rąbek zachodzącego lata.

Powietrze ciepłe jeszcze, lecz tylko z wierzchu, a na dnie ma chłodek rzeźwy, zwłaszcza w tej chwili, gdy tarcza słoneczna tak nisko pochyliła się ku zachodowi, że tylko połowę jej widać nad pasem niedużego lasu. Tarcza ta, blade-złota, zstępuje ze sklepienia pogodnego, lecz bladego; trochę ciemniejszy pośrodku błękit nieba w miarę opuszczania się ku skłonom bladej i przechodzi w seledyn i białość. Chmury żadnej, ani nawet obłoku na tem sklepieniu niema i wznosi się ono jak klosz przezczysty nad ziemią, której widoki, w powietrzu, jak kryształ przejrzystym, posiadają wielką wyrazistość i odrębność. Można by powiedzieć, że świat się rozindywidualizował: tak przedmioty wszystkie doskonale oddzielają się od siebie, wyodrębnione, wyraźnie obrysowane, wypukłe.

Wyszliśmy z małego lasu, za który zachodziło słońce; wywabiły nas zeń ogniki, które z pola, przez drzewa, przebłyskiwały jak drobne iskry. Co to za ogniki? Tu i owdzie pobłyskują, ale po co?

Pole równe, gładkie, rozległe. W lecie były tu łany różnego zboża, ale teraz wszystko żęte i tylko w jednym miejscu niwka zębu końskiego jaśnieje zielonością majową, przedziwnie świeżą. Można by pomyśleć, że figlarz jakiś z kawałka wiosny zrobił łatkę i przyszył ją do żółtego płaszcza, którym jesień okryła ziemię. Ale i płaszcz ten nie jest tak zupełnie żółtym, jakim się na pierwszy rzut oka wydaje. Wprawdzie ścierniska, jeszcze nie zdeptane i nie poczerniałe, mają kolor świeżej słomy, lecz tu i owdzie kładą się na nie różowe krepki światła, od zachodu padających, i z blade-żółtej szczotki dobywają się zrzadka ostróżki fioletowe, po raz drugi kwitnące, bławatki w tem lecie ostatnie, a gdzie tylko jest krzak jaki, gałęzie mu owijają sploty białych jak mleko przytulii. Brzegami zagonów rogata cykorya odkwita i na łodygach drzewiastych, nagich, jak rogi sterczących w strony różne, zawiesza nad zagonami szeroko rozwarłe oczy błękitnych kwiatów. Niżej, u stóp badyli, po bylicach pozostałych, i końskich szczawi, które gdzieniegdzie stoją jak czerwone miotły, boki zagonów miękko wyściełają szare puchy kotków i z pomiędzy ździebeł słomianych dobywają się — istne korale, gwiazdki małe, z koralu najczystszy, tak pięknego, że choć je w broszkę albo pierścionki oprawiać! To kurzyśląd po raz drugi w tym roku kwitnie i miejscami tak gęsto koralowe gwiazdki na ściernisko sypie, że aż pali się ono w ich czerwieni.

Z miedz, od grusz dzikich, padają na ziemię cienie długie i migotliwe, bo tańczą po nich krople złotego światła; tu i owdzie, w ramach żółtej ścierni, szmata świeżo zoranego pola prawie czarna i leci od niej zapach nieokreślony, jakby pleśni grzybowej, jakby świeżego pieczywa. Z nad jednej z tych szmat porwało się stado wron i z głośnem krakaniem, podobne do chmury na mnóstwo skrzydlatych obłoków rozbitej, powietrzem przeleciawszy, padło na las, z za którego świeci jeszcze część tarczy słonecznej, w dziwny sposób oświetlającej jego wnętrze. Jest to oświetlenie takie, że pojedyncze pnie sosen, doskonale od siebie oddzielone, stały się podobnymi do słupów umoczonych w roztopionem złocie, a u dołu gąszcze paproci tak wyglądają, jakgdyby kto do stóp złotych słupów nasłał zwojów koronek strzępiastych, pierzastych, zielonych i rdzawych.

Te zaś punkty błyszczące, które w lesie, z za drzew, wydawały się drobnymi iskrami, wzrosły teraz w płomyki, płonące przy samej ziemi. Jeden z nich, najbliższy, jęczyzkiem ognistym dobywa się z drogi polnej, nad ściernisko; drugi, trzeci świecą dalej, więc słabiej; czwarty w głębi widnokregu, daleko migoce, drży, przygasa, zapala się znowu, jak spadła na ziemię drobna, mrugająca gwiazda. Są to ognie, na miedzach i drogach polnych zapalone przez pastuszków; pstre trzody mającą też w ich pobliżu. Pora kopania kartofli jeszcze nie nadeszła, lecz są one już w ziemi dojrzałe i obfite, więc wykopują je ręce chłopięce i pieką przy ogniach. Od najbliższego płomyka dochodzi lekki trzask gałęzi łamiących się w ogniu, u dalszego rozlega się wołanie:

— Ho, ho! hej, hej!

To pstra trzoda powlekła się w kierunku wzbronionym i do powrotu skłania ją pastuszek, smyk wiejski z ogromnym biczyskiem, którym wywija chwilę, biegając, poczem kładzie się u ognia, leniwie wyciąga na ścierni długie, nagie do kolan nogi i z nad samej ziemi podnosi twarz chłopięcą w zsuniętej na tył głowy czapce, z pod rozczochranej gęstwiny włosów błyszczącymi oczyma ścigając odlatujące wrony. O kilka kroków dalej dziewczyna, z głową w czerwonej chustce do maku polnego podobna i z upieczonym kartoflem w ręku, podskakuje na bosych stopach, piskliwie wykrzykując:

— Hej, hej! hi, hi!

— Ho, ho! — odpowiada jej głos z bardzo daleka, z głębi widnokregu, od ogniska, które tam u samej ziemi mającym i mruga.

Stamtąd też, po chwili, odzywają się nuty piszczałki pastuszej, trzy tylko nuty biedne, wciąż te same, ale tak przeciągłe, jak to pole jest rozległe, bo od krańca do krańca jego rozplywają się tonami tęsknoty nieskończonej, powtarzając się nieskończenie... nieskończenie.

— Du — du — du,

— Na co kosa?

— Du — du — du,

— Sianko kosić.

— Du — du — du,

— Na co sianko?

— Du — du — du,

— Krówki karmić.

— Du — du — du,

— Na co krówki?...

Jednocześnie, nad ognikami ukazywać się poczynają dymki sinawe i zrazu prosto strzelają w górę, lecz latające nad polem wietrzyki wnet pochylają je, gną ku ziemi: wyciągają się więc poziomo, opadają na ścierniska i pełzną po nich jak węże przezroczyście, coraz grubsze, coraz błękitniejsze.

Nad lasem świeci już tylko rąbek tarczy słonecznej, w gloryi obłoku, który niewiedzieć skąd wziął się i stoi teraz na całym skłonie nieba w krwistej czerwieni i fioletach, szeroko obrąbionych płomiennem złotem. Głęboko wyzębiony, pogięty w doliny i góry, podobny jest do łańcucha wybuchających wulkanów. Dziwne też światła idą od niego po polu, snują się nad niem smugami, kładą się plamami. W drzewach i krzakach migocą krwawniki i bursztyny; u dróg rozstajnych szczyt topoli włoskiej góruje jak zapalona głowica kolumny; każde źdźbło słomy na ścierniskach świeci z osobna, jak zapalona świeczka.

Iluminacja, a pośród niej, tu, owdzie, ogniki pastusze drżą jak blade iskry i toczą się od nich po ziemi długie już teraz węże dymów. Toczą się, pełzną, u końców rozwiewają się w opony sinawe, przezrocze, które po źdźbłach słomy drąc się na szmaty, wieszają się na krzakach, pajęczą przędzę snują po świeżo zoranej ziemi, mgiełkami płyną po majowej zieloności końskiego zębu, kołyszają się na rogatych cykoryach i na badyłach bylic... Wszędzie ich pełno; ciche jak widma, powiewne jak woale, błękitnawe i lekkie jak usuwające się w dal nieprzejrzaną marzenia, snują się po świecie wśród olśniewających blasków zachodu, którym towarzyszą coraz liczniej rozlegające się głosy. Trzody, napędzane ku domowi, porykują; pastuszki coraz częściej wołają:

— Ho, ha! Hej, hej!

Psy kędyś szczekać zaczęły, słycać dudnienie kół i poskrzypy osi; zaś w głębi widnokręgu, na całe pole, od krańca jego do krańca, przerywając światła, blaski i dymy, rozlegają się trzy nuty, trzy biedne nuty wciąż te same, powtarzając się nieskończenie, z tęsknotą bez końca:

Du — du — du,
Na co krówki?...
Du — du — du,
Mleczko doić.
Du — du — du,
Na co mleczko?
Du — du — du,
Pastuszki poić!...

*

Stanęliśmy w bramie dworu. Dom wiejski niski, długi, z dachem gontowym, z szeregiem okien, w których gdzieś żarzą się purpurowe ogniska świateł, z czterema słupami ganku, gorejącymi w złocie. Stare lipy ogrodu goreją także w ciemnej zieleni gałęzmi pożółklemi, a pośrodku dziedzińca, u stóp wiązu poplamionego słomianą żółcią, mały sumak zaczerwił się tak jaskrawo, że wygląda jak biblijny krzak gorejący. U początku ogrodu astry, skabiozy, nikotyony, floksy ścielą się u stóp drzew zagonem tak długim, że to ukazuje się pośród nich, to za nimi znika, błyskając pstrociczną barwą, którym, jak echa napowietrzne, odpowiadają te, które zapaliły się na drzewach.

Za dworem, zdaje się, że tuż, tuż, bo istotnie blisko, o wiorstę niespełna, jednak za jarem głębokim, nad samym urwiskiem jaru, widać szereg chat szarych, wioskę chłopską. U stóp wioski, po ścianach jaru, pełno brzoź, czepiających się po załomach twardych i krzaków berbersowych, kalinowych, głogowych, wśród których białą siecią wiją się ścieżki pionowo i poziomo wydeptane na urwiskach przez ludzi i zwierzęta. Spodem gąszczy liściastego, na dnie jaru płynie strumień tak wązki, że z łatwością przeskoczyć go można, lecz w drodze, pod sklepieniem gałęzi brzozowych, w spowiciu chmielów dzikich spotyka się z rozsypaną gromadką różowatych kamieni i, przepływając po nich, szemrze, klekoce, śmieje się, czasem dzwoni. Czasem, na dnie odzywa się dźwięk metaliczny, podobny do tego, jaki wydaje struna targnięta i wnet opuszczona; jeden, drugi, trzeci, szybko następują po sobie, gonić się zdają i jest to jakby dzwonienie oddalone, srebrne, śpieszne. Nigdy przecież nie trwa długo, milknie i strumyk znowu szemrze, z lekka klekocąc.

Za jarem, w pobliżu wsi, nieco dalej w głąb widnokręgu, na płachcie żółtego piasku, w niskiej sośninie, cmentarz z mnóstwem krzyżów nierównego wzrostu, które wznoszą się nad sośninę, czarne na tle błękitnego nieba.

Na to wszystko, w tej godzinie przedwieczornej, padł moment spokoju bez granic. Ani ludzi, ani głosów, nigdzie śladu ruchu.

Cisza. Nie dlatego, aby dom był bezludny; gdzie tam! W tej porze roku szczególnie, gdy wakacje szkolne ostatniego kresu swego dobiegają, kipi w nim życie, jak wrzątek. Tyle ludzi! Starszy pan domu i jego żona, młody pan Witold i jego młodziutka żona... ach, ten niesłychanie żywy pan Witold, który przed rokiem zaledwie skończył studia uniwersyteckie, a już jest żonaty i dwóch byłych kolegów swoich na wakacje do siebie ściagnął; szesnastoletnia panna Jadzia, dwudziestoletnia panna Janina, czternastoletni Staś i szkolny jego kolega Tadzik. I jeszcze dwóch gości: od paru tygodni chorowity krewny i od paru godzin młody sąsiad, zdeklarowany konkurent... Dużo ludzi! Ale teraz, niewiedzieć gdzie się to wszystko podziało! Jakby coś wymiotło stąd ludzi, tak pusto. Dzień świąteczny. Pewnie rozeszli się wszyscy, rozbiegli na pole, do lasu, na rzekę, bo rzeka płynie tuż za domem, tylko że stąd jej nie widać, zwyczajnie, jak to bywa w jedną z ostatnich pogód roku, w jeden z ostatnich dni letnich radości...

Cicho. W powietrzu, którego oddech jakby zamarł, ciemne lipy, jak nieruchome strażnice wznoszą wysoko pochodnie z gałęzi bursztynowych; nizki sumak płonie krwisto u stóp olbrzymiego wiązu; na zagonie z kwiatami nikotyony coraz liczniej rozwierają śpiące we dnie kielichy śnieżne i rozplywa się z nich silniejsza woń narkotyczna. Słychać klekocący szmer strumienia w głębi jaru; widać z oddali jak po stromej ścianie kobiety wiejskie zbiegają do strumienia po wodę. Ściana stroma, więc biegną prędko i w koszulach białych, w chustkach czerwonych, w oddali migocą jak w dół opadające motyle.

Zresztą nic. Dom, drzewa, kwiaty, wioska, za wioską krzyże cementarne na płachcie żółtego piasku — milczą. W wiązach i lipach drobne ptactwo układa się do snu z cichem ćwierkaniem. Powietrze — puste. Ani powiewu wiatru, ani źdźbła kurzawy: kryształ.

Wtem, nad dachem domu, w przejrzystym kryształce powietrza, coś zaszarzało. Zrazu jedna, potem druga, zrazu mętne, gęste, przysadziste, potem coraz czystsze, przejrzystsze, wysmuklejsze, z kominów domu wypłynęły i ku górze wzbily się wstęgi dymu. W tej samej chwili, jak odpowiedź na hasło, jak echo na dźwięk głosu, za jarem, nad chatami wioski, nad jedną chatą, drugą, trzecią powstały i wyciągnęły się w górę takie same napowietrzne szlaki. Pogoda będzie snąc trwałą, powietrze jest lekkie, dymy przezrocyste, sfalowane, zupełnie prosto, równo, bezprzestannie płyną ku niebu. Moznaby nawet myśleć, że nie płyną, ale stoją jak napowietrzne kolumny, przedziwne lekkie, wyrzeźbione, światłami zachodu nasycone, więc złote, a tu i owdzie przeciągające po błękitcie rumianość jutrzeńkową.

Cicho. Na drzewach nie poruszają się liście, tylko czasem w gęstwinach liści ptaki sennie ćwierkają. Spokój bez granic. Czerwony sumak goreje, białe nikotyony pachną, w oknach domu dogasają drgające odbicia światła...

Wtem strumień w jarze zadzwonił. Jakby tam był na dnie utopiony dzwonek, tak dzwoni srebrnie, śpiesznie, głośno. Krzyże nad czarną sośninką zagorzały. Nad domem, nad chatami dymy idą w niebo, czyste, świetliste...

„Anioł Pański zwiastował...”

— Co to znaczy? Co to za dym, tam... tam... pomiędzy drzewami, z za góry, jakby z nad Niema! Jaki duży kłęb dymu! wybuchnął... zniknął! Znowu ukazał się... Ach, to pewnie ogień nad Niemnem rozkładają! Ogień rozkładają — bez nas!

Niedorośli chłopcy, w szkolnych ubraniach stoją z palcami wskazującymi wyciągniętymi daleko, daleko, aż drżą ze wzruszenia, oczy ich płoną oburzeniem. Oto gdzie się oni wszyscy podzieli! Oto, co ich z domu, z dziedzińca, z ogrodu tak do szczytu wymiotło! Ognisko zapalają nad Niemnem, który płynie tuż za domem, u stóp wysokiego brzegu... Ognisko zapalają, nie oznajmiwszy nam o tem, bez nas! Krzywda! Krzywda! Skrzywdzono nas szkaradnie! Ale to nic! Sami sobie sprawiedliwość wymierzmy! Pójdziemy tam! W czas jeszcze przyjdziemy, bo takie rzeczy nie trwają krótko. Chodźmy, chodźmy prędko!

Aha, chodźmy! Kiedy oni już pobiegli! I nie tylko pobiegli, lecz polecili całym pędem, jakim lecieć mogą nogi czternastoletnich wyrostków. Już dom minęli, już za domem słychać głosy ich wołające na chłopca kredensowego: „Antek! leć z nami!” Już zniknęli...

A ten, kto powoli zstępuje z góry drogą krętą wśród wiklinowych płotów ku rzece wiodącej, zauważyć może, że oświetlenie i zabarwienie światła uległo zmianie nowej.

Z drugiego obłoku, który niewiedzieć skąd powstał nad zachodzącym słońcem i przez czas jakiś okrywał skłon nieba łańcuchem wybuchających wulkanów, pozostała już tylko wielka zorza wieczorna, od której odłączały się i jak lekkie łódki na niebo wypływały obłoki żółtawe, zarumienione, złotawe, srebrne. Było ich całe stado, większych, mniejszych, w kształty różne wyrzeźbionych; płynęły szybko, rozsypywały się po niebie i wiał od nich smętek rzeczy świetnych, które wnet zniknąć mają. Jakoż szedł po nie zmrok, którego krepki, ledwie jeszcze widzialne, już uścielały głębie sklepienia, a dyamenty niebieskie, wpływając w nią, znikły, jak motyle w sieci pajęczej. Jednak przed zniknięciem odbijały się w rzece, której dno podobnym stało się do kopalni drogocennych kruszców i kamieni, bo pod wodą, w błękit owinięte, leżały sztaby złota i srebra, deszcze rubinów i ametystów. Rzucić się tylko w wodę, dać nurka, bogactw tych nazbierać i wyjść na ląd milionerem!

Lecz po cóż miliony tym, którzy ognisko nad brzegiem rzeki rozniecają, bawią się jak nieśmiertelni bogowie? Co za ruch, gwar, krzyki, śmiechy, wesołość! Mnóstwo ludzi: starych, młodych, niedorosłych; cały dom, a raczej wszystko, co w nim żyje. Prawdziwe mrowisko, bo każdy tu coś robi: biegnie, dźwiga, ciągnie, dmucha, buduje, poprawia. Przytem system republikański najzupełniejszy, pomieszanie płci, wieków i stanów: wolność, równość, niepodległość.

Ekonom Dziurdziewicz, chłopak młody i zwinny, z obydwoma panami: starszym i młodym, wznosi z gałęzi uschłych i zielonych stos tak okazały, że spłonąć — by mógł na nim z kośćmi wcale spory heretyk; gimnaziści z chłopcem kredensowym, dwaj studenci z jedną panną i druga panna z niedawno przybyłym gościem, łamią w lasku gałęzie olchowe, leszczynowe, jałowcowe i niosą je albo ciągną za sobą, jak kto zdoła. Lecz najważniejsza bodaj czynność przypadła w udziale staremu stangretowi: u stóp wznoszącego się gmachu leży on rozciągnięty na trawie, plecami do góry i z całej siły szerokiej piersi dmucha na uparty ogień, który u samego dołu to błyska, to przygasa, to rozpuszcza język długi i szeroki, to kurczy go i pod ziemię chowa. Już go był raz rozpuścił zupełnie i buchnął dymem, a teraz rozlecił się znowu, omdlewa, ledwie dyszy. Więc stary Marcin dmie jak z miecha, aż mu siwe wąsy jeżem nad wydętymi policzkami stoją, a czoło zorane i włosy bieluteńkie oblewają się od ognia różową luną. A młody stangret, który z młodym sąsiadem tylko co przybył, nie śmie ani tak wyciągnąć się na ziemi, ani tak głośno dmuchać, jak to czyni stary sługa domowy: więc na jedno kolano ukląkł i dmucha delikatnie, jakby tylko dla okazania swoich także najlepszych chęci.

Jakim sposobem nastąpiło tu tak do dna rewolucyjne pomieszanie demosu z arystokracją, zgadnąć nie trudno. Że gimnaziści, lecąc około domu, zawołali na kredensowego chłopca „Antek! leć z nami!” to już wiadomo; ekonom Dziurdziewicz musiał być u starszego pana na naradzie gospodarskiej, gdy powstał projekt zapalania ogniska, a pan Witold, jak to zazwyczaj z nim bywało, dopóty po domu biegał, drzwiami trząsał, wołał, prosił, gniewał się, śmiał się, całował, aż do projektu zwerbował wszystko, co w domu żyło, z ojcem i ekonomem włącznie. Stangreci zaś przyszli popatrzeć tylko i zrazu na stronie stali, ale później wzięła ich ochota wmieszać się do roboty i wmieszała się, co tem łatwiej stać się mogło, że starszy pan ze starym Marcinem znają się od dzieciństwa i zostają z sobą w stosunkach prawie przyjacielskich, wprost nawet przyjacielskich. I teraz też stary Marcin z nad czeluści, w którą pogrąża twarz zarumienioną od ognia i wysiłku, woła:

— Co pan robi? Na co pan tyle tej leszczyny nakłada? Co to za robota taka? Dopóki suszy nie naniosą, nic z tego nie będzie!

I zniżając głos, gderliwym tonem oświadcza:

— Czy to tak dawniej ogień rozpalali! Wcale inaczej rozpalali! To też i palił się... Ale teraz, wszystko... jakieś... durniejsze!

Ostatniego jednak wyrazu, niezbyt dla towarzystwa pochlebnego, nikt słyszeć nie może, bo pan Witold, usłyszawszy wyraz „susz”, z takim gwałtem, jakby kula ziemską wnet w przepaść bezdenną stoczyć się miała, wołać zaczyna:

— Suszy! dawajcie suszy! Broniek! Kazik! Janka! Jadźka! Panie Władysławie! suszy! suszy! Malcy! hej, malcy! Staś! Tadzik! Antek! Suszy dawajcie! Nieścież prędeż! Jezus Marya! prędeż! bo przez wieki wieków nie zapali się i runie! dalibóg, nim zapali się — runie! Suszy! Suszy!

— Niesiemy! Niesiemy! Niesiemy! — brzmia w odpowiedzi z pod olszynki głosy męskie, niewieście, dziecinne i na wązkim pasie łąki ukazują się jasne suknie panienskie, białe mundury studenckie, bluzki szkolne w towarzystwie kredensowego spencerka.

Wszyscy coś niosą, albo ciągną i są bardzo weseli, oprócz jednego ze studentów, który jest smutny, nawet ponury i w milczeniu grobowem brzemie swe rzuca na ziemię z takim impetem i tak blisko Marcinowego ramienia, że Marcin podnosi głowę i gderać zaczyna:

— A toż po jakiemu panicz robi? Kto to tak drzewo na ludzi rzuca? Tylko co panicz głowy mi nie rozbił! A żeby tak rozleciała się w kawalki, to pięknie byłoby, a?

Student, zwany Bronkiem, niesłychanie oddalonym jest od chęci i zamiaru rozbijania głów ludziom...

Widząc jednak, że siwa głowa starego sługi znajduje się w całości najzupełniejszej, z cicha mówi tylko:

— Przepraszam, mój Marcinie, bardzo przepraszam!

Poczem odchodzi na stronę, ku wodzie, nad której brzegiem stojąc, pokręca wężem, który tylko co pełnoletności swej dosięgnął i wzrokiem pełnym ciemnych zapytań ku olszynce patrzy. Tam, w coraz więcej ciemniejące gęstwiny, panna Janina z tym wymuskany filistrem z sąsiedztwa poszła i — przepadła. Panna Jadzia, jak zwykle z Kazikiem flirtuje, zapytuje go teraz, czy będzie skakał przez ogień, a on — blagier bezecny! odpowiada:

— Jeżeli pani rozkaże, w piekielny ogień skoczę!

Tamtych zaś jak niema, tak niema! Po gałęzi niby poszli! A, rodzie puchowy! Nie wiasta, zdaje się, jak drut! dobra, rozumna, śliczna! A dwóm ludziom naraz makówki zawraca! I kogo ona z nas dwóch? którego?... kogo?...

Wtem ukazują się na łące... Wyszli z olszynki, idą z wolna i każde niesie w ręku po jednej gałązce leszczynowej. Żebyż choć po gałęzi dużej, ale to po gałązce, gałązeczce... Rozmawiając, twarze ku sobie obracają, tak sobą zajęci, że nie czują nawet, jak z temi gałązeczkami w rękach są śmieszni, więcej niż śmieszni, bo oburzający. Wtedy, gdy wszyscy dla wspólnej zabawy pracują, brzemiona noszą, a temu biednemu Marcinowi aż pot z czoła lać się zaczyna, oni całą godzinę po lasku sobie spacerowali i z gałązeczkami w rękach wracają powolutku, spokojnie! Takie postępowanie ani ludzkim, ani obywatelskim nie jest! to prosty egoizm, arystokratyzm... brak wszelkiego poczucia solidarności z resztą ludzkiego rodu...

— Jakież mnóstwo materiału palnego państwo przynieśli! — żartobliwie do nadchodzącej pary mówi starsza pani, która z chorowitym krewnym, na pledzie po trawie rozpostartym siedząc, o polityce rozmawia.

Wolałyby brać udział w rozniecaniu ognia, lecz gość z obwiązaną twarzą czynić tego nie może, więc poświęca się i o ulubionym przez siebie przedmiocie rozmawia.

— Bo — ciągnie przerwane zdanie — te stosunki Czechów z Niemcami w Austrii...

— A czy państwo tu byli za Badenim, czy przeciw Badeniemu? — zapytuje gość, końcami palców dotykając trawy, w celu dowiedzenia się, czy niema już na niej rosy.

Ale sąd opinii prowincjonalnej o wielkim ministrze wygłoszonym nie został, bo zanim go zapytana kobieta wymówić zdołała, w powietrzu zabrzmiał chóralny, tryumfalny okrzyk:

— Pali się!

— Brawo! brawo! ślicznie się pali! Jak pędzi w górę! Co za potężny płomień! Jak odbija się w rzece! A dym? Co za dym! Pyszny, wspaniały dym!

Stary Marcin, stękając, wstawał z ziemi, ale, gdy już wstał, głowę tryumfująco podniósł i, siwego wężem pokręcając, rzekł krótko:

— Jest!

A potem, z młodym stangretem z sąsiedztwa na stronę odszedłszy, jął z lubością przypatrywać się dziełu płuc swoich i pomimo to z cicha wyrzekać:

— Ej! czy to my niegdyś takie ognie nad Niemnem palili! Bywało, jak zapalim, to płomień aż pod niebo idzie! Teraz wszystko... jakieś... słabowitsze...

Ważkim pasem łąki z brzegiem rzeki rozdzielona olszynka była laskiem małym, po kilku niewysokich wzgórzach falisto rozciągniętym; lecz na przeciwnym brzegu, za rzeką, rósł bór wielki, ciemnym szlakiem rozpościerający się od krańca do krańca widnokregu. Rzucalo to na krajobraz nutę posępną, z którą teraz skrzyżowała się nuta jaskrawa. Ogień, długo oporny, wybuchnął nagle i z siłą wielką, z trzaskiem, z szumem, olbrzymimi językami wzbivszy się w górę, spiętrzone gałęzie oplótł siecią węzów płomiennych, syczących, ruchliwych. W powietrzu, już mocno pomierzchłem, rozlał się blask ogromny i na powierzchni rzeki, pod którą już pogasły świetne odbicia obłoków, rzucił słup światła, do złotego mostu podobny.

Był to także most drżący i tańczący, bo składające go złote smugi, kółka i krople, drgały i tańczyły, wraz z ruchem fal, które drobnymi zmarszczkami przepływały wciąż, przepływały, do warg uśmiechających się i delikatnych podobne. Ciepło też upalne, prawie piekące, uderzyło w zmrok świeży i rzeźwy, a w górze, z wierzchołka stosu, oplecionego językami płomiennymi, wybuchął dym gruby, gęsty, prawie czarny, u początku rojem iskier gęsto nadziany i potem jeszcze rzadka, coraz rzadziej, z ciężkich kłębow sypiący na rzekę iskry. Wiatr pochylał go w stronę przeciwnego brzegu rzeki coraz więcej, coraz

niżej, aż, zgiąwszy olbrzymie swe tułowie, nad mostem, który drżał na wodzie, rozwinął w powietrzu most drugi, kłębiący się aż do obrzeżyń boru i wsuwający się w ciemne jego wnętrze.

Gałęzie trzaskały, roje iskier rozsypywały się na wsze strony, trzech malcy, od olszynki wracając, dźwigali brzemiona nowego paliwa, a pan Witold, rozweselony tak, jak on jeden rozweselać się umiał, z hołupcem do młodej żony przyskoczył, za rękę ją porwał i w takt przyśpiewywanego mazura, krokiem mazurowym ognisko obiegać, czy obtańcowywać, poczał. Jak na dane hasło, student Kazik i, jak trzcina chwiejąca się od śmiechu, panna Jadzia to samo czynić zaczęli; za nimi, przyśpiewując i za ręce się pobrawszy, poszli w taniec Staś i Tazio, a jeszcze za nimi Antek kredensowy dziwne skoki i miny wyrabiał, w takt wpaść z całej siły starając się, a nie mogąc.

Gałęzie trzaskały, iskry rojem sypały się na wszystkie strony, dym walił coraz grubszy, coraz gęściej iskrami nadziany i coraz cięższy most kłębiasty nad złotym mostem na wodzie tańczącym zawieszał, a wysmukły pan Witold, ze swą ruchliwą, bladawą twarzą, i do drobnej różyczki polnej podobną żoną, której śmiech srebrny tworzył duet ze śmiechem panny Jadzi, wołał czasem: hej! ha! bił chołupce i tańczyć nie przestawał, gdy tymczasem trzech malcy z głośnym chichotem wpadali w coraz wyższe, dziwniejsze i dziksze podskoki i podrygi.

Starszy pan odszedł nieco na stronę i, spoglądając na rozbawione dzieci, uśmiechał się pod siwym wąsem, który w górę podkręcał białą ręką z sygnetem herbowym, a ręce tej, jak akord akordowi, odpowiadała o kroków kilkanaście blaskiem ogniska oświecona ręka gruba, brunatna, w srebrnej obrączce na palcu, starego Marcina, także podkręcająca wąsy siwe nad uśmiechającymi się ustami. Młodszy zaś towarzysz Marcina, stangret z sąsiedztwa, na tańczących patrząc, aż za boki brał się od śmiechu.

Nie wszyscy jednak w wesołości tej brali udział. Chorowity krewny, na rozesłanym pledzie siedzący, krzywiąc się, mówił:

— Przypomina mi to obrządkie pogańskie... Bardzo niezdrowa rzecz... bardzo niezdrowa...

Potem kończył rozpoczęte zdanie.

— I jeżeli kortezy... jeżeli kortezy odmówią przyzwolenia swego, plan Sagasty w łeb weźmie... w łeb weźmie!

Ekonom także, Dziurdziewicz, stał w niejakiem od ognia oddaleniu z palcem przyłożonym do ust, z zadumą tak głęboką w ogień zapatrzony, że aż zmarszczka wystąpiła mu na niskie czoło.

— Pokazać sztukę? — dumał, — czy nie pokazać? Przeskoczyć ogień, czy nie przeskokować? Okrutnie wielki, bestya! i jak wpadnę, to brrrr! Ale gdybym szczęśliwie przeskokował, ot, pokazałbym sztukę!...

A Broniek, przy samej wodzie stojąc, dumał także. Blask ognia padał mu na twarz, której młodzieńcza świeżość nabrała przez wakacyjne wczasy okrągłości znacznej, a piękne myślące oczy nie na ogień wcale patrzyły, lecz w głąb łąki, tam, kędy pobłyskiwała jasna suknia panny Janiny, powoli przechadzającej się z panem Władysławem.

Broniek dumał.

— Jak cień za nią łązi, cynik niepohamowany, a ona rada, że oprócz mnie ma komu jeszcze kontramarkę zawracać. Oj, kobiety, kobiety, powiedział Mickiewicz i — prawdę powiedział! Cóż, facet majątek ma, choć dziś do ołtarza, a ja... z przyszłością w kieszeni...

Panna Janina jak smukła kolumienka jaśniała w głębi łąki, het, aż pod olszynką, a przy niej, jak cień, w eleganckim tużurku, posuwał się pan Władysław.

Broniek był blady...

Wtem, z za dwóch mostów, z których jeden złotem po wodzie tańczył, a drugi olbrzymim węzem nad wodą się kłębił, ozwały się z boru hukania donośne, przeciągłe, coraz bliższe. Ktoś tam po ciemnym borze chodził, na towarzyszy wołał, ku skrajowi lasu śpieszył, może przebłyskami ognia i dymem zalatującym wabiony. Pan Witold, który już tańczyć przestał, złożył w trąbkę obie ręce, do ust je przyłożył i odpowiadać poczał:

— Ho, ho! hej, hej!

A panna Jadzia, u samego brzegu rzeki stojąc, zawołała jak mogła najgłośniej:

— Kto tam?

I wnet w borze echo trzy razy: raz głośno, drugi raz ciszej, a potem jakby z wielkiej, wielkiej dali, odpowiedziało:

— Tam!... taam!... taaaam!

To echo wszystkich bardzo zajęło i z kolei starszy pan tubalnym głosem wykrzyknął:

— Ja-dzia!

Ale, że drugą sylabę prędko urwał, więc echo w borze prędko także zagadało:

— Dzia-dzia-dzia!

Wszyscy zaśmiali się, a panna Janina, która bardzo lubiła wywoływać echo, przerwała rozmowę z młodym sąsiadem i, obok ojca stanąwszy, bardzo przyjemnym głosikiem zawołała:

— Tat-ko!

A echo, jak kumoszka ze złości kogoś przedrzeźniająca, prędko wytrzepało:

— Ko-ko-ko!

Dokoła trzaskającego i szumiącego ognia rozległ się powszechny wybuch śmiechu i jeden tylko Bronek nie śmiał się wcale, podniósł głowę, wzrok, który strzelił błyskawicą na pannę Janinę, obrócił i z wyrazem ironicznej niemal energii na twarzy, wyraźnie, przeciągle, prawie uroczyście, wykrzyknął:

— Wła-dy-sław!

Bór też wyraźnie, przeciągle, zupełnie uroczyście odpowiedział:

— Sław! Słaaw! Słaaaaw!

I nie wiadomo, co by na to niespodziane wysławienie imienia swego powiedział był elegancki sąsiad, gdyby powszechnej uwagi nie zwróciło na siebie kilka wychodzących z boru postaci ludzkich.

Były to dziewczęta wiejskie z koszykami w rękach, które wylaniały się z ciemnego boru i stawały jak wryte, widokiem palącego się nad wodą ognia zachwycone.

— Oj, oj! jaki ogień! Boże mój, Boże, jaki piękny ogień!

Nad głowami ich dym, kłębamii do boru idący, mgłą lekką postacie ich osłaniał, tak, że wyraźnie widać było tylko bosc ich stopy nad samą wodą w żółty piasek wryte, jak brązowe podstawy posągów.

— Grzyby są? — donośnie zawołał ku nim pan Witold.

— Oj, oj! Żeby nie było! — odrzyknęło z przeciwnego brzegu parę piskliwych głosów.

I zawiązała się pomiędzy dwoma brzegami żwawa rozmowa.

— A rydze są?

— Oj, oj!

— Dobry wieczór, Elżbietko!

— Dobry wieczór, panienko!

— Dużo nazbierałyście rydzów?

— Całe koszyki!

— A kto najwięcej zbierał?

— Pietruśka!

— Przynieście do dworu!

— Przyniesiem!

Jednak nie niosły jeszcze. Na żółtym piasku, pod wciąż toczącym się, toczącym i toczącym ku borowi dymem, usiadły i przypatrywały się ognisku, dokoła którego towarzystwo, co je zapaliło, także siedziało na trawie. Nikt już nie stał, nie chodził, ani biegał; nikt nic nie robił, wszyscy nawet umilkli i cisza zapanowała na obu brzegach rzeki: tylko gałęzie trzaskały w ogniu, iskry czasem rozsypywały się na wsze strony i olszynka z jednej strony, a bór z drugiej z cicha szumieć zaczęły. Zmrok był już zupełny na niebie, które przy blasku ognia wydawało się bardzo głębokiem i ciemnem; świeciło mnóstwo gwiazd. W pobliżu ogniska, nisko nad trawą zaszemrał szept.

— Którą gwiazdkę, panno Jadwigo, obrała pani za swoją? Bo trzeba koniecznie mieć swoją własną gwiazdkę wybraną, ukochaną, uwielbianą... Ja mam...

A z drugiej strony ogniska głos nieco ochryply i kwaśny, wśród ciszy powszechnej, mówił:

— Bahr-el-gazel Francya opuścić musi i jeżeli kuzynka myśli, że losy królowej Ranawalo będą zazdrości godne, to...

I najzupełniej nieznanym pozostał horoskop dla losów królowej madagaskarskiej przez pana Teofila stawiony, bo za rzeką wzniósł się głos kobiecy, trochę za cienki, lecz świeży i silny, który na całą rzekę, na całą łąkę, na cały świat z gwiazdami u góry, ze słupem ognia w dole, zaśpiewał:

«Czemu ty, Marylo, po pagórkach błędzisz?
Czy ty, Marylo, mego syna lubisz?
Żebyś nie lubiła, tobym nie błędziła,
Za twoim synem jam Dunaj przebyła».

I dalej, długo, pieśń żalosa, tonami przewlekłymi rozlewała się nad wodą i łąką, a gdy na chwilę milkła, nutę jej chwytal bór i pierwszy raz jasno, głośno, potem ciszej, a potem w wielkiej dali rozwiewnie powtarzał.

Kiedy nakoniec, długą pieśń skończywszy, śpiewaczka umilkła, panna Janina zawołała:
— Elżbietko! zaśpiewaj jeszcze!

W odpowiedzi dał się słyszeć cienki chichot i filuternie uśmiechający się głos od-
krzyknął:

— Teraz wy zaśpiewajcie, panienko!
— Zaśpiewaj, Janko! — rzekł starszy pan, i poparli jego słowa inni.

Panna Janina nie dała się prosić długo. Lubiała i umiała śpiewać; to też po krótkiej chwili, nad złotym mostem, na wodzie rozciągniętym, naprzeciw Elżbietki siedząc, zaczęła:

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciłabym, jak tylko dla ciebie...

Po żalosa i w bardzo wysokich nutach trzymanej pieśni wieśniaczej, czysty i silny sopran panny Janiny szedł po wodzie i po zmroku tonami wesołemi, na których dnie rozlewała się rzewność głęboka.

Pan Władysław, łokciem wsparty o kępę trawy, głowę oparł na ręce i patrzył w gwiazdy, a Broniek, jakby nieprzewyciężonym magnesem pociągany, okrążał z tyłu rozsiadłe na ziemi towarzystwo i powoli, powolutku zbliżając się ku śpiewającej pannie, dumal.

— Dla kogo świeciłaby... dla kogo... dla kogo? Dla mnie, czy dla niego? Wczoraj, o tej samej porze śpiewała tę samą piosnkę... dla mnie... zgiń świecie! jeżeli nie dla mnie... i nie do mnie! Szampańska to była chwila! A teraz... dla kogo śpiewa? do kogo?...

Tak dumal z oczyma wlepionemi w profil panny Janiny, który na gorącym tle płomienia uwypuklał się w złotych włosach, jak delikatnie na rubinie wyrznięta kamea.

Gdy umilkła, cienki dyszkancik panny Jadzi wygłosił:

— A teraz, niechaj znowu Elżbietka zaśpiewa!

Bo jeżeli dwór miał swoją śpiewaczkę, to wieś miała także swoją, a była nią Elżbietka. Więc na przeciwnym brzegu słycać było przez chwilę ciche chichoty, wzajemne zachęcania się i namowy, aż rozległ się wysoki i czysty głos Elżbietki, na żwawą i filuterną nutę, śpiewającej:

Dobry wieczór, panienczko,
Oj, wino zielone!
Spojrzyj, spojrzuj w okieneczko,
Oj, koniki wrone.
Jedzie, jedzie, kogo żądasz,
Oj, wino zielone!
Nie tutejszy, sokół śliczny,
Oj, koniki wrone!

— Kiedyż nie wrone, ale siwe! — z ręką u wąsa i na pana Władysława zyzując, mruknął Broniek, co miało zapewne oznaczać, że «facet», na którego zyzował, siwymi końmi jeździ. Na szczęście, nikt docinku tego nie usłyszał; wszyscy słuchali śpiewu Elżbietki i oczy mieli podniesione ku dymowi, który od ogniska wciąż płynął i płynął nad rzeką, most nadpowietrzny nad nią zawieszał i w borze przepadał.

Nagle, w pobliżu ogniska rozległ się wykrzyk głośny, przerażeniem i boleścią brzmiały:

— Rosa!

Wydał go pan Teofil, przycem wysoki, cienki i przygarbiony porwał się z ziemi, raczej z pledu, i ręce rozkładając, o wszelkich względach zapominając, przez jeden tylko instykt samoobronczy unoszony, mówić zaczął:

— Ależ to jest nieostrożność, nierozwaga, szaleństwo, proste narażanie się na katary, grypy, fluksye, newralgie, febry...

— Tyfusy, reumatyzmy... — wtórować zaczął pan Witold.

— Zapalenie płuc, mózgu, paraliże, suchoty... — wmieszała się panna Jadzia.

— Cholerę, dżumę... nosaciznę! — dokończył student Kazik — i nikt już nic więcej od śmiechu wymówić nie mógł.

Przeżarliwa litania wszystkich chorób możliwych, jak dachówka ze szczytu wieży niespodziewanie spadając na rozbawione, w śpiewie wesołym zasłuchane głowy, tak je rozśmieszyła, że wstrzymywali się od śmiechu i wybuchali nim znowu, nie mogąc uspokoić wesołości, którą nakoniec starsza pani przerwała, powstając i mówiąc:

— Ależ to prawda! prawda! Pan Teofil ma słuszność! późno już! pora do domu! Proszę na herbatę!

Sama tak śmiała się, że ledwie mogła mówić, ale usiłowała łagodzić to, co śmiech powszechny mógł mieć ubliżającego dla chorowitego gościa.

— Trouble-fête! — na pana Teofila zerkając, szepnął do żony pan Witold.

Wszyscy powstali.

Panna Janina i Jadzia wołały za rzekę:

— Dobranoc, Elżbietko! Dobranoc, Pietrusiu!

Tamte odkrzykiwały wzajemnie:

— Dobranoc, panienkomb! Dobranoc!

A bór powtarzał wtórem przewlekłym:

— Noc! nooc! nooc!

I dalej toczył za rzeką gamę cichego, basowego szumu.

Noc też uczyniła się na świecie. Niebo już caluteńkie iskrzyło się od gwiazd, trawy były mokre; ognisko, niepodsypane, szczuplało, zniżało się, bladło; sznur dymu, coraz krótszy, zwinął się w mały kłębek, i tylko szmatami oderwanymi pierzchał nad wodą, z której złoty most tańczący zniknął. Pan Witold, malcy, stangreci, ekonom gasili do reszty ogień, aby nie pozostała po nim iskra najdrobniejsza, a potem, w zmroku gęstym, w jedynym świetle gwiazd wysoko świecących, nad rzeką ciemno-stalową, w której fali mrugały odbicia gwiazd, po długim pasie łąki wszyscy szli parami i w milczeniu. Ale milczenie trwało krótko. Panna Janina wsunęła rękę pod ramię ojca i szła z nim w pierwszej parze; on zaś niebawem rzekł z cicha:

— Zaśpiewaj, Janko!

Więc jak ptak, dla którego śpiew jest racją życia, wnet śpiewać zaczęła:

«Po nocnej rosie, płyn dźwięczny głosie,
Niech się twe echo rozszerzy!
Gdzie nasza chatka, gdzie stara matka
Krząta się koło wieczery!»

— Otóż to! że się nie krząta! — tuż za śpiewaczką idąc, westchnęła starsza pani. — Bawila się wyśmienicie, ale... co z wieczrą będzie?

Głośno i ciężko westchnął idący po mokrej trawie pan Teofil, lecz nie rzekł nic, a panna Janina śpiewała dalej:

«Jutro dzień święta, niwa nie zżęta
Niechaj przez jutro spoczywa;
Niech wiatr swawolny, niech konik polny,
Niechaj skowronek tam śpiewa...»

Teraz Broniek wdychał głęboko, lecz bardzo cicho.

— Skowronek! słoneczko! Gdyby była skowronkiem, dla kogoby śpiewała, gdyby była słoneczkiem, dla kogoby świeciła? Dla kogo?

Wtem wyciągnął szyję i oczyma ogromnie zaniepokojonemi wpatrzył się w zmrok. Pas łąki prowadził wprost ku jarowi, a jar był już tak blisko, że z dna jego uszu idących dolatywał klekocący szmer strumienia. Za jarem, nad samym jego urwiskiem, chaty wiejskie rozwijały się na tle zmroku, jak łańcuch czarnych pagórków. Broniek, z wyciągniętą szyją, szeroko otwierał oczy. Coś tam, nad jednym z pagórków błysnęło, potem schowało się, lecz szczyt pagórka okrył się jak mgłą dymem, prześwieconym przez blask czerwony.

— Co to za dym? — zawołał starszy pan głosem, na którego dnie zadrżała trwoga.

— Pali się! wieś pali się! — wrzasnął Broniek, z całej siły puścił się naprzód i nim ktokolwiek słowo wymówić zdołał, wyminął towarzystwo i zniknął w jarze.

Przebiegając obok panny Janiny, nie spojrział na nią. Zapomniał o niej, o sobie, o... „facecie”. Jak na skrzydłach leciał — na ratunek...

*

O, roślino, wiążąca się z życiem człowieka, od jego poranku, którym jest pierwszy krzyk dziecka, owijanego w lniane pieluszki, aż do nocy, wśród której grozę trupa okrywa całun lniany, jakże wesoła i prześliczną jest twoja zieloność świeża i jasna, kiedy w majowej pogodzie okrywasz zagony gęstwiną ździebeł delikatnych, ucentkowanych milionem błękitnych oczu, patrzących w majowe słońce! Stoją wówczas nad tobą powodzie światła złotych i spadają deszczyki perliste, z za których widać tęcze; w niskich gęstwinach twych grają wówczas przed zmrokiem orkiestry skowronków, a o zmroku motyle, zmęczone tańcem napowietrznym, opadają na źdźbła twoje i, u wiotkich wierzchołków kołysząc się, zwijają do snu skrzydła!

Lecz „na świecie krótkie maje!” Wkrótce, o, lnie! słońce lipcowe doskwierać ci zaczyna i stopniowo, lecz nieubłagane, jasną zieloność twą przemienia w bronz coraz ciemniejszy, coraz więcej podobny do roli, z której powstałeś. Już błękitne oczy twe znużone zamknęły się, zniknęły, a u szczytu twych ździebeł na ich miejscu wystrzeliły główki pełne ślizkich i lśniących jak metal ziaren; już w gęstwinie twej nie śpiewają skowronki, ani nad tobą igrają skrzydła motyle... Przerzedzony, pociemniały, zeszywniały, stoisz na zagonach, już, zda się, umarły!

Wcale nie! Odżyjesz jeszcze po wielekroć. Jeszcze w ciche południe wrześnieowe, gdy drzewa obleką się czerwienią i całą gamą barw brązowych, a po polach, od miedzy do miedzy, od badyla do badyla, rozsnuje się młeczne i w słońcu srebrzące się babie lato, napelnisz powietrze miarowymi, suchymi stukami terlic, które w każdej wsi, w każdej chacie wiejskiej dobywać będą z twardych powłok włókna twe, tak płowe i blade połyskujące, jak w jesieni poświata słoneczna.

Jeszcze w wieczory zimowe, w świetle ogniska, co-to, przez małe okno świecąc nad śniegiem, zdaje się przedrzeźniać gwiazdy, którymi luty, miesiąc mrozów, niebo roziskrzył, w postaci płowych kądzieli osiadasz na prząśnicach i, gdy po świecie wichry huczą, śnieżna zamieć wiruje, płozy sań skrzypią na drogach po zamrzłym śniegu, w ciepłe izby pełnej ludzi, z prząśnicy na furkające wrzeczona, nicią świecącą wić się będziesz, wić się, wić, razem ze snującą się, snującą i snującą przewlekłymi tonami pieśnią, przewlekłych jak zmroki zimowe wieczernic.

Jeszcze, o, lnie, niemi lekko na czółenkach noszonemi zasnujesz krosna tkackie, długimi szlakami płócien rozsnujesz się na łąkach, gdzie w wysysających barwy promieniach słonecznych nabierzesz śnieżnej białości; jeszcze oddychać będziesz razem z piersią dziewiczą i może słuchać, jak uderza serce bohatera, oblewać się znojem na barkach rolnika, gdy plugiem kroi w brózdy twardą ziemię, zasłaniać ustrojony w sztuczne kwiaty korowój weselny, siać się na pokuciu¹ chłopskim pod bochen czarnego chleba i zielonawe czarki szklane, albo — okrywać stół książęcy, gdy światło lamp wspaniałych krzesi w srebrach i kryształach miliardy olśniewających błysków i połysków! Ale teraz, lnie dobry,

¹ *pokucie* — kąt w chatach białoruskich, gdzie zasiadają goście najpoważniejsi i w czasie wesel państwo młodzi. [przypis autorski]

przebywasz porę smętną, niekiedy złowrogą! Uschły, ciemny, rzędami snopków stoisz po dniach całych u płotów podwórek, na przyzbach pod ścianami; gdzie okiem rzucić, wszędzie, niby żebraków natrętnych, wzrok spotyka te snopki twoje, o płoty i ściany plecami oparte, czasem przekrzywione, jak kulawe dziady, lecz zawsze sztywne, jak małe trupki; wysychają na słońcu i wietrze, a czasem...

Strych chaty niski, duszny, wieczną szarzyzną zmroku napełniony, bo jedno tylko ma okienko, i to tak malutkie, że gałąź gruszy, u chaty rosnącej, zupełnie je zakrywa. Na strychu, na toku glinianym, leży len rozelany i — do reszty schnie. Zmierch tu taki, że brunatnych ździebeł u dołu leżących prawie nie widać. Są jednak, śpią na glinianym toku i może śni się im słońce majowe, muzyka skowronków i perlisty deszczyk, z za którego widać tęczę. Wtem śpiących główek ich, napełnionych ślizkiemi ziarnkami, dotyka dymek malutki, lecz bardzo niemiły. Wiemy! wiemy! to siostra psianka tak zapachniała, ta która to z liśćmi, do kapuścianych podobnymi, rośnie w ogrodach i u ludzi nazywa się: tytuń! Brzydki pachnie i wogóle psianki, to, z nielicznym wyjątkiem, ród brzydki, szkodliwy, zły duch roślinnego państwa, tak jak len jest jednym z jego dobrych, niewinnych, cnotliwych duchów! Dymek palącej się psianki, zwanej tytuniem, cienkim sznureczkiem wije się po szarzyźnie strychu, a główki lnu aż kichałyby od niego, gdyby umiały. Ale kichać nie umieją, więc tylko tulą się do glinianego toku strwożone, przerażone... O, one dobrze wiedzą, czego się trwożą! O takich spotkaniach z zapachem palącej się psianki istnieją w rodzie ich tradycje straszne! Bo jacy to też ci ludzie bywają czasem nieostrożni, o niczem nie pamiętający, zwłaszcza gdy w serce ugryzie ich zazdrość, jak teraz ugryzła tego zgrabnego parobka, Michałka, który bez tchu prawie wskoczył na strych, aby przez okienko malutkie spojrzeć: czy Hanulka wypadkiem znowu do dworu nie poszła! Bo nieraz już widział, że, byle czas miała, to jak sarna płot przeskoczy jeden, drugi i już na drodze ku dworowi leci...

Czego? Aha! Michałek domyśla się i czyha! Niech tylko raz jeszcze zobaczy, a wie już co zrobi! Całą twarz, wielką i od gniewu czerwoną, wsadził w okienko, patrzy...

— Do dworu! — krzyknął — jak Boga kocham, do dworu poleciała...

Od okienka odskoczył; z ręki upadło mu coś błyszczącego, ale wcale tego nie spostrzegł; wybiegł, wypadł raczej, drzwi za nim z łoskotem zapadły, jak krótki grzmot zadudniały zbiegające po drabinie grube buty i — cisza!

W zmroku coraz gęstszym, źdźbła lnu leżą na toku glinianym i w główkach znowu sennych snują marzenia o minionym maju. Na świecie noc zaczynać się już musi, bo do więzienia ich, przez małe okienko, gwiazda zajrzała, pomiędzy liśćmi gruszy stanęła i patrzy. Pomimo liści jasne jej oko rozświeca trochę ciemności strychu i spostrzega, że w pobliżu okienka z pościeli lnu, leżącej na toku glinianym, dobywać się poczyna dymek zrazu mały, którego jednak po chwili znajduje się coraz więcej, który rozszerza się, okrywa brunatne źdźbła zasłoną falującą, złości się od błyskających spodem płomyków, wraz z nimi powiększa się, rośnie, aż nie płomyki już, lecz płomienie rozwijają języki długie, łakome, kołysząc się dosięgają dachu, liżą krokwie, pełzają pod strzechą i, same ukryte jeszcze, wyrzucają nad strzechę dym, ich krwistą poświatą napojony i w spotkaniu z powiewami wiatru wnet skracający się w kłęby.

— Wieś pali się! — krzyknął Bronek, wyprzedził towarzystwo i zniknął w jarze, a po kilku minutach zarys jego postaci wspinał się na przeciwległe urwisko i głos donośny ku wsi wołał:

— Pali się! ludzie! Pali się! Pali się!

Starszy pan za głowę się pochwycił.

— Oj, te lny! te suszące się lny! — zajęczał i już szerokimi krokami, co sił starczyło, szedł ku dworowi, wołając:

— Panie Dziurdzewicz! Marcin! konie do wozów! Sikawkę, topory, parobków na wozy! Prędko! Piorunem!

Marcin biegł już sam i wnet zrównał się z panem. Dziurdzewicz młody obu wyprzedził. Zdaleka zdawać się mogło, że to cienie ścigają się w zmroku, bo był jeszcze i czwarty, wlokący się z tamtymi trzema, cienki, przygarbiony, postęgujący.

Jeden z cieniów narzekał:

— Ach, nieszczęście! nieszczęście! Stodoły pełne! bydło w oborach!

A drugi pocieszać usiłował:

— Z sikawką polecim zaraz! zgasim! Czy to tak kiedyś paliły się wioski... a świat nie spalił się! stoi!

I obaj z pośpiechu dech tracili; ten zaś cień, który włókł się na ostatku postękując, mruczał:

— Śliczna mi willegiatura! To piecze, to moczy, to straszy... Ogień, rosa, pożary... Tu do ostatka zdrowie stracić można! Dość już tego!... Żeby jak najprędzej do łóżka!

Nad stromem urwiskiem jaru, naprzeciw chaty, której dach stał w płomieniu i dymie, kobiety, wśród rosą ociekających berberysów, za paski u bluzek trzymały dwóch malców, którzy, błagając, brykając, prawie płacząc, wyrwali się na drugą stronę jaru, na pożar, na pomoc panu Witoldowi i dwóm studentom, których postacie ukazywały się czasem w blaskach ognistych, a głosy rozkazujące, donośne, wołały:

— Tu! z tej strony! płot rozerwać! strzechę rozbierać! Wody dawajcie! Bydło wyprowadzajcie! Dzieci zabierać! dzieci zabierać! Gumno oblewać!

Jasno zrobiło się od płomieni, jak w dzień; na brzozech, obrastających toki jaru, można było liczyć liście: tak je nawskroś przejęła poświata złoto — dymna; można też było po drugiej stronie jaru rozróżnić twarze i ruchy ludzi, których dokoła pożogi zbierało się coraz więcej, którzy wśliznęli na sąsiednie dachy i miotali z nich na ziemię kule słomy, podawali z dołu i przyjmowali u góry naczynia z wodą, toporami walili w płoty, na wiejską drogę wypędzali bydło, w ramionach unosili dzieci. Powietrze napełniło się mnóstwem zmieszanych głosów: szumem ognia, krzykami mężczyzn, lamentem kobiet, płaczem dzieci, rykiem bydła, wrzaskiem pactwa domowego. Topory stukwały, psy wyc zaczęły; stada wróble i gołębi podnosiły się z podwórka i z pozłoconymi skrzydłami zapadały w brzozy i kaliny jaru. A w górze, z rozszerzającego się wciąż morza płomieni, dym walił olbrzymi, czerwony zrazu, potem czarny, kłębami szedł pod niebo czarne, z którego poznikały gwiazdy, rozwlekał się po ognistych zmrokach, spływał aż na dno jaru i dobywał się zeń na stronę przeciwną, tak krztuszący, gryzący, że oczy kobiet, które tam pomiędzy berberysami stały, były pełne łez. Panna Jadzia płakała na dobre, z chusteczką przy oczach; ale panna Janina, jako zupełnie już dorosła, zachowywała panowanie nad sobą i wyprostowana, trochę nawet zeszywniała, z za szklistej powłoki, którą zapewne dym z pod powiek jej dobywał, patrzyła w obraz pożogi z wyczerpaniem niespokojnym, tak dręczącym, że bladeść wielka powlekała jej kameowe rysy. Tuż przy niej stał pan Władysław; wszyscy mężczyźni rozbiegli się w strony różne, nawet Staś i Tadzio wybłagali pozwolenie biedz przynajmniej do dworu, aby tam komukolwiek na cokolwiek się przydać, i można było ręczyć, że pomimo zakazów już powłazili na wozy z sikawką i parobkami i jeden tylko z pomiędzy płci silnej elegancki cień panny Janiny z płcią słabą pozostał. Uczynił był zrazu parę wahających się ruchów w stronę wsi i w stronę dworu, lecz pozostał, z miłym uśmiechem mówiąc:

— Trzeba przecież, aby ktoś opiekował się paniami.

Właściwie po tej stronie jaru ogień i wszelkie żywioły niszczące były nieobecne, więc potrzeba opiekiwania się nie bardzo widoczną była, jednak nikt nic nie odpowiedział i tylko panna Janina, jakby czemś niewidzialnym popchnięta, odeszła i o kilka kroków dalej od pana Władysława stanęła. On zaś natychmiast o tę samą ilość kroków postąpił i znowu tuż za nią stanął, a teraz, gdy groza pożogi dosięgała szczytu, milczenie panujące wśród kobiet przerwał słowami:

— Co za przepyszny widok!

Krótkie, zdaje się, słowa, a jednak sprowadziły następstwo dość skomplikowane. Panna Janina ruchem powolnym ku temu, co je wyrzekł, twarz obróciła, dobre pół minuty patrzyła na niego, milcząc, aż znowu, jakby siłą niewidzialną popchnięta, postąpiła kilka kroków i obok matki stanęła. Tym razem pan Władysław nie poszedł za nią, bo z prawdziwie artystycznym zjawstwem przypatrywał się przepysznemu widokowi, przez szkła binokli, w których migotały drobne odbicia ognia.

Ogień, pomimo stawianego mu oporu, objął już dwie siedziby chłopskie, dwóm innym zblizka zagrażając, bo z trzaskiem raket wystrzeliwały zeń płonące głownie i ku sąsiednim dachom leciały powietrzem, pełne wrzawy, spieki, dymu i blasku. Ten blask odbijał się w rzece, która płynęła nisko, u stóp wysokiego brzegu, ale nie złoty i nie tańczący most kładł na wodę, tylko siał na niej od brzegu do brzegu smugę czerwoną, do krwi rozlanej podobną. Na przestrzeni znacznej wyraźnie widać było, jak fale, napływające

z grubej pomroki, w tę przestrzeń wpływając, zakrwawiały się, płynęły coraz czerwiesze i z jej obrzeżyń wpływały znowu w pomrokę, a za niemi na ich miejsce przybywały inne... inne... inne...

Nad wysokiem urwiskiem wrzał zgiełk krzyku, lamentów, płaczów, ryków, ogień szumiał jak huragan, dym walił w niebo, w powietrze, w jar, nad rzekę, aż na zarzeczny bór, a krwawe fale rzeki płynęły dołem, spokojne, przepływały szeregami niezliczonymi, nieprzerwanymi, obojętnymi jak przeznaczenie, idące przez zgiełk i krew, w pomrokę tajemniczą i daleką, do której odgłosy klęsk nie dochodzą, nad którą świecą już przez żywioły ziemskie niezaćmiwane gwiazdy...

Mniej spokojnym i na klęski ludzkie obojętnym był bór za rzeką, bo ilekroć zgiełk głosów nad urwiskiem przycichał, słycać było, jak bór szumi smutnie, a w tym szumie echa niezliczone podnoszą rozgwar zmieszany z głosów bliższych, dalszych, przeraźliwych, rozwiewnych, tak, że wydawać się to mogło kłótnią czy naradą tajemniczą zbiegłych w to miejsce klęski wszystkich duchów leśnych.

Ale od kilku już minut, od dworu ku wsi toczy się turkot wozów, wpada pomiędzy chaty wiejskie, w pobliżu ognia milknie... Posiłki wojenne przybyły. Dokoła ognia ruch ludzki wzrasta jeszcze, siwe głowy starszego pana i Marcina to tu, to owdzie ukazują się w blasku czerwonym; Dziurdziewicz stoi na wozie i wraz z parobkami dworskimi ogromna rurą, pełną wody, manewruje. Na sąsiednim dachu zaś siedzący pan Witold krzyczy tak, że o całość gardła jego lękać się można.

— Dziurdziewicz! tu, tu, ten dach oblewać! Na miłość boską, bo głównie leć! wody dawać! prędzej! prędzej!

Istotnie, z ognistego morza wystrzelują rozpłomienione główne i w pobliżu wolażącego na strzechę padają, a jednocześnie z dołu wytryskuje ogromny strumień wody i rzesistą ulewą okrywać poczyna strzechę, siedzącego na niej pana Witolda i główne, które, jak gniazdo węzów, syczą i z sykiem gasną.

Młodziutka żona pana Witolda, obu dłońmi zakrywając twarz, do poblądłej róży polnej teraz podobną, szepce:

— Boże! Boże! jak ja się boję! jak ja się boję!

A o parę kroków od niej stojący pan Władysław tonem zupełnie krytycznym mówić zaczyna:

— Bo też to jest ze strony tych panów narażanie się zupełnie zbyteczne... zbyteczne! Należało posłać narzędzia ratunkowe, służbę, ale pocóż koniecznie udział osobisty?... To niebezpieczne, a w najlepszym razie niezdrowe!...

Panna Janina znowu ku mówiącemu twarzą bróciła i wnet, z wyrazem zdziwienia najgłębszego, zawołała:

— Ach, to pan! A mnie się zdawało, że to pan Teofil mówi! Byłam nawet pewna... głos pana wydał mi się zupełnie podobnym do głosu pana Teofila!

— E! pan Teofil już oddawna musi być zakopany w koldrach! — zgryźliwie zauważyła panna Jadzia.

A panna Janina, powoli wznosząc ramiona, z doskonałą obojętnością wyrzekła:

— To wszystko jedno!

Pan Władysław uczuł, że grunt usuwa mu się z pod stóp. I przedtem miał go obok panny Janiny trochę tylko, bardzo jeszcze niewiele, teraz zaś uczuł, że usuwa mu się z pod stóp zupełnie. Jako: on i pan Teofil to »wszystko jedno! « ten pan Teofil, którego niedawniej jak przed godziną nazwała egoistą i nudziarzem!

Nagle ktoś tam za jarem także grunt pod nogami stracić musiał, bo na jednym punkcie pożaru rozległ się krzyk przeraźliwy, taki krzyk, jaki przez gardła ludzkie zwykło wydawać — nieszczęście! Rozległ się, utonął w skupiającym się na jedno miejsce zgiełku, z którego dobywały się różne okrzyki.

Ktoś przeraźliwie zapytywał:

— Czy żyje? czy żyje?

Ktoś inny wołał:

— Nosze urządzić! noszy! noszy!

Kilka głosów kobiecych zalamowało:

— Oj, Boże mój, Boże! o, Jezu! Jezu!

I z za jaru wionęła groza i objęła kobiety, które zaczęły drżeć, całymi ciałami podaly się naprzód i, z ramionami ku przeciwnej stronie jaru wyciągniętymi, z całej siły jęły wołać:

— Co tam się stało? co się stało? co się stało?

Pan Władysław ręce w trąbkę złożone do ust przyłożył i na całe gardło zapytywał także:

— Co się stało? Czy co się stało? Co się stało?

Nad samym skrajem jaru biegł Dziurdziewicz, z kulem słomy, zapewne dla zasłania noszy, w ramionach, na mgnienie oka zatrzymał się i podniesionym głosem odpowiadać zaczął:

— Pan Bronisław...

Lecz w tej chwili rozległ się głos starszego pana, wołający:

— Dziurdziewicz! prędej!

Więc, nic więcej nie rzekłszy, w kierunku wołającego jak strzała pomknął, a w tej samej chwili...

W tej samej chwili stała się rzecz niespodziewana, a stała się tak szybko, jak przelatuje błyskawica po niebie, lub myśl po przestworzu. Panna Janina porwała się z miejsca i w jar skoczyła. Jasna suknia jak promień ześliznęła się po stromej ścianie i już wspinała się na przeciwną, wprzód, nim ktokolwiek słowo przemówić zdołał. Po mokrych trawach, od krzaku do krzaku, od brzozy do brzozy, w mgłę dymu, opadającej w dół, wspinała się ku górze, aż u samej krawędzi jaru, w spiecu ognistej i w łunie czerwonej stanęła. Wtedy też ręce jej wyciągnęły się w powietrze i załamane na suknię opadły, a z ust wydarł się straszny krzyk.

Dziurdziewicz i Marcin z przodu, a dwaj parobcy z tyłu nieśli nosze, na których leżał Broniek. Ręce miał oparzone, jakby ze skóry odarte, szerokie plamy czerwone na twarzy i szyi, oczy zamknięte. Biały mundurek studencki wyglądał jak łachman wszędzie podziurawiony i z sadzy wyciągnięty; bił od niego zapach dymu i spalenizny.

— Przez jar poniesiemy! bliżej będzie! — wołał Dziurdziewicz.

Ale Marcin protestował.

— Żeby jeszcze spadł z noszy i na dół stoczył się! Z takiej stromej góry znieść! Na drogę trzeba... przez pole!...

— Umarł? — z rękoma przy głowie krzyknęła panna Janina.

— Żyje! zemdlął tylko! żyje! Trzeba prędej do domu z nim i po doktora! Skoczę zobaczyć, czy przez jar można?

Nosze spoczęły na ziemi, ekonom skoczył w jar dla obejrzenia drogi, a panna Janina, trzymając w mocno ściśniętym ręku klapę Marcinowego surduta, głosem dziwnym, bo więdnącym w gardle, ochrypłym, z oczyma szklano w starego sługę wlepionymi, zapytywała:

— Co to... Jakto... Żyje? pewno żyje?

Marcin z irytacją głową wstrząsał.

— Żyje, panienko... tylko jakeśmy na nosze go kładli, zemdlął! Bo i co to za robota! Kto tak robi! Do chaty, co już cała w ogniu stała, po jakieś pieniądze chłopskie wskoczy! Wielka rzecz, że baby lamentowały: »hrosze! hrosze! « i za kolana go schwyły... Niechby lepiej te hrosze dyabli wzięli! Nie! czysto jak waryat, skoczył... jakaś deska załamała się mu pod nogami, rękoma chwycił za palącą się belkę i żeby nie pan Kazik i Dziurdziewicz, co go w pół porwali i z ognia wyciągnęli, jużby... garść popiołu... Ej! co to za robota! Jakie to panicze terazniejsze! Niech im Bóg przenajświętszy bło... błogosławi...

Tu dym tak mocno zagryzł Marcina w oczy, że rękę ze srebrnym pierścieniem na palcu w kułak złożył i począł nią sobie łzy ocierać, a panna Janina, nad noszami pochylona, głosem, który wśród lkań drgał jak przez wichry miotany trel słowicy, powtarzała:

— Panie Bronisławie! panie Bronisławie!

Aż ciszej, bardzo cicho, mówić zaczęła:

— Bronku! Bronku!

I od twarzy jej, nisko schylonej, na biedną, oparzoną, zemdloną twarz chłopca padały bujne, perliste łzy. Może tą rosą z omdlenia zbudzony, otworzył oczy, spojrzeniem spotkał się z twarzą dziewczyny, nisko nad nim wiszącą, łzami zalaną i — uśmiechnął się. Poruszył też ustami i wyszeptał:

— Żeby pani była słoneczkiem... to dla kogo?... dla kogo?...

I znowu zemdlął.

A ona wyprostowała się, rękoma twarz zakryła i z całej siły, całą duszę swą rzucając wysoko nad ziemię, nad płomień ziemskie, nad gwiazdy niebieskie, pod stopy Boże, w myśli przysięgała:

— Jeżeli zbawisz go, jeżeli żyć będzie, o Ojczy, któryś jest w niebie, ja dla nikogo na świecie, dla nikogo, tylko dla niego...

Dym zasłoną przezroczystą, pożąconą, otoczył i zasłonił leżącego na noszach chłopca i modlącą się nad nim, z rękoma u twarzy, dziewczynę...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dymy>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Chwile*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródeł wikiskrybów w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Seniju@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0613-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.